

## Leżę... — ubuff

**Od autora:** Jest to fragment trochę większego opowiadania. To jest pierwszy fragment, który gdziekolwiek umieszczam i mam nadzieję, że spodoba się. Jeżeli nie - to przynajmniej będę wiedział dlaczego.

---

Leżę... Nie ruszam się, leżę. Oddycham. Żyję... Żyję? W sensie technicznym, tak. Boże! Jaki jestem zmęczony. Nie mam siły nie leżeć. Nie jest mi zimno. Jest mi nijak. Gdzie leżę? Mam zamknięte oczy. Przez powieki widzę światło. Nie mam siły ruszyć powiek. Nie słuchają mnie. Są ciężkie. Leżę albo w kompletnej ciszy, albo nie słyszę. Ale słyszę. Swój oddech słyszę. Ciężki, ale miarowy. Wszystko jest ciężkie. Nie mogę albo nie umiem się ruszyć. Dalej leżę. Nie ruszam się. Oddycham.

Leżę w odczuciach. Śmiech jest taki miękki. Czuję go. Jest puszysty i łaskocze. Strach... on jest ciężki, ma lamparcie oczy. Leży na mnie. Kiedy mruży oczy, jest jeszcze cięższy. Boli kiedy patrzy. Zgniała. Oddech wychyla się z ust. Boi się. Zaczepił się o krtań. Nie mogę krzyknąć. On ma w sobie litery, wewnątrz siebie ma litery „AAAAAAAAAA”. one są w nim. Nie słychać ich. Ale tłuką o niego. Oddech zamarł. Jest szklany. „A” nadkruszają go. On się boi. Wspinają się do góry i chcą wyjść. Oddech chce krzyknąć. Strach nagle szybkim susem skacze. Już nie zgniała. Wbijają pazury w oddech, ale wszystkie „A-AAA” spłynęły do środka razem z oddechem. Strach łapie szklaną skorupę. Pęka z hukiem zasypując wszystko odłamkami. Oddech jest bezpieczny...

Zniknęło światło. Powieki nie są już żółtawe. Są czarne. W tej czerni nie ma światła. Dalej oddycham. Jest mi nijak. Może mi się to śni. Oczu nie otworzę. Nie umiem. A chcę je otworzyć?

Teraz czuję. Czuję chłód oddechu. Chłód mnie przeszywa.

Leżę na wznak. Dwóch siedzi mi okraciem na nogach. Dwóch stoi na dłoniach. Są mali, ale górują nade mną. Patrzą z wyrzutem. Krzyczą, ale ich nie słyszę. Widzę ciemne chmury wychodzące z ich gardeł. Zderzają się nad moją głową. Strzelają piorunami. Iskrzą się. Każdy wyrzut budzi grzmot. Chmura ciemnieje. Padają z niej płatki śniegu. Płatki w kratkę. Na każdym narysowana pretensja. Tworzą lodowaty wir i wpadają do ust. Mrożą oddech. Zatykają usta.

Nie słyszę oddechu. Teraz powieki pieką. Znowu jest jasno. Dalej leżę? Chyba tak. Ale dlaczego leżę? Gdzie? Muszę się skupić. Mocno skupić... A oddech jest taki miarowy... znowu ciemno.

Widzę siebie w lustrze. Mam zamknięte oczy. Kolory szepczą mi polecenia. Z uszu wypełzły myśli. Jak skolopendry. Mają orle szpony. Zawisają nad brwiami. Patrzą na mnie twarzami smutnych starców. Wbijają się w powieki. Ciągną w górę. Otwierają mi oczy. Stoję w rudawo-brązowej wodzie. Ciągną powieki w górę. Oczy szeroko otwarte. Zdzierają płaty skóry z czoła. Chowają się wśród włosów. Czuję je w nosie, przegryzają się do mózgu. W potylicy. Nie mam powiek. Nie mam nosa. Nie krzyknę. Mam usta pełne wyrzutów.

Leżę. Żyję? Coś mnie boli. Muszę się ruszyć. Nabieram duże hausty powietrza. Nie mogę otworzyć oczu. Ale widzę. Puszyste ogniki biegają nad moją głową. Są takie słodkie, kolorowe. Chciałbym je objąć. Skaczą. Są wesołe. Nie boją się. Każdy ma imię. Imiona są smakami. Widzę je. Biegają teraz w kółko. To lisy. Kolorowe smaczne lisy. Są duże. Tak duże jak ja. Wzbijają się pod sufit i skaczą na mnie. Wskakują w puste oczodoły, zwijają się w kłębek i śpią. Jest im miło. Mruczą. Chłonę ich smaki. Miękkie. Nagle się rozbiegają i rozplývają jak dym. Pachną zdziwieniem. Brudne dłonie gmerają mi przy uchu. Obrzy-

dliwym powykrecanym paluchem z pozołkłym paznokciem wierci mi otwór w uszach. Z obu stron. Czuję jak palce stykają się wewnątrz. Swędzą mnie myśli. Nie mogę ich zobaczyć. Drapią się jedna o drugą. Nie wiem co to za myśli. Wyszczierzają się. Szczur wbiega w otwór. Trzyma w zębach nitkę. Staje na tylnych łapach i zaczyna wciągać ją do środka jak linę. Nitka jest w wiadrze z wrzątkiem na nitce wiszą stalowe ostre nuty. Przechodząc przez otwór kaleczą mi ucho. Nuty upadając przed nogami szczura krzyczą. Krzyczą melodię. Znam ją. Ona boli. Tak boli, że myśli już nie swędzą tylko wibrują. Myśli chcą odpocząć. Chowają się za szafą i już ich nie ma.

Nie ma nici, nie ma szczura. Czuję zimną i twardą podłogę. Leżę na niej. Muszę się ruszyć. Słyszę oddech. To mój? Jest taki nieświadomy. Próbuję zebrać myśli. Skup się! Skup się! Skupiam się tak mocno. Tak mocno. Z cienia wychodzą *chwile*. Bezkształtne. Moje ręce powiększają się do niebotycznych rozmiarów. *Chwile* nie śmieją się. Są smutno-poważne. Podchodzą do rąk i wrywają włosy. Każdą cebulkę obejmuje malutki nagi *ja*. *Ja* się bardzo boją. Jest im zimno. *Chwile* zaczynają rechotać i wchodzą w porę. Skóra się zasklepia. *Ja*, trzymając cebulki wbiegają na brzuch i wskakują do pępka. Czarna maź chlupie na boki. Dłonie, stopy, całe ciało drży. Czuję jak chrząszcze w moich żyłach przedzierają się do serca. Drapią, szorują swoimi czólkami o ściany żył napięte jak bębny. Czuję w mózgu każdy ich szmer. Trzymają serce za ręce i drgawkowo szarpią nim rytmicznie. Bzzzz... Bzzzz... Bzzzz... Szczur ciągnie linę. Nuty krzyczą. Znam ten dźwięk.

Boli mnie głowa. Z tyłu mnie boli. Plecy mnie bolą. Czuję swoje ciało. Jednak żyję. Wiem! Leżę na ziemi. Nieee... skup się! Co się stało? Gdzie? Nadludzko skupiam się. Boli mnie mózg. Teraz! Otwieram oczy. Widzę lampę pod sufitem. Światło też mnie widzi... Nagie światło bez twarzy. Zaczyna krzyczeć ogniem. Puszczą się lampy i gęstym śmierzącym strumieniem spływa na moją twarz. Podbiega i szarpie powieki. Pomiedzy okiem a czaszką przepycha się do środka. Wypycha gałki na zewnątrz. Wiszą na nerwie wzrokowym. Gryzie go. Śmierzące, gryzące światło! Rozlewa się po ciele i topi wszystko. Jestem napompowanym skórzanym balonem. Nuty upadają, bolą mnie, w pustym środku mnie buczy owad. Bzzzz... Bzzzz... Bzzzz... wydiera się przez nos i przewraca wiadro z nutami. Maź wciąga nuty i wsiąka w szczelinę płytek. Nie ma już dźwięku. Zapadam się. Jestem płynny. Faluję powoli. Leżę w odczuciach... jest mi nijak.

Mam blaszaną głowę. Coś tłucze. Huk. Zgrzyt starego zamka. Trzask metalowego pręta.

Leżę. Słyszę Cię przez celofanową ścianę. Łzy uderzają o folię. Twój głos jest drżący. Litery wylatują przez usta i upadają na ziemię. Odbijają się jak kauczuk. W zwolnionym tempie. Przerzywasz rękami barierę i chwytasz mnie. Chwytasz? Zaczynasz promieniować. Masz skrzydła. Zapadam się znowu. Szarpiesz mnie. Robię się płynny i kapię na podłogę. Wstajesz. Patrę na ciebie z powierzchni płynu. Dotykasz karkiem sufitu. odwracasz się. Folia zniekształca wszystko. Dym spowija wszystko. Jest ciemno. Oddycham. Moje imię pachnie strachem. Czuję ten strach. Twój głos i ich głosy. Śpiewają z żalością moje imię. Szare smutne wyrazy wirują wokół siebie. Coraz szybciej i szybciej. Moje szarościowe spiczaste imię tańczy. Okrąża wszystko i wbija mi się w rękę w zgięciu łokcia. To ty. Czuję jak rozplątywasz się ciepłem po moim ciele. Robi się błogo. Odczucia są miękkie. Są duże i pachną owocami. Przykrywają mnie świecąc w twarz nadzieją.

Leżę. Inaczej leżę. Na boku. Czuję zapach pościeli. Mam zamknięte oczy ale widzę. Widzę energię, która do mnie płynie. Jak okrągła pionowa fala. Jak płynna akustyka. Wbija się w budynek, przenika przez ścianę i rozbrzmiewa potężnym basem. Sunie przez pomieszczenie, kolejną ścianę, pomieszczenie. Widzę jak się zbliża. Wpada do mojego pokoju przenikając przeze mnie zwalnia. Całe ciało ogarniają drgawki.

Czuję ją. Jest gorzka. Na moimi plecami zanika. Za chwilę następna. Widzę przez ściany jak się zbliża. Znowu uderza szalonym dreszczem. Nie wiem ile to trwa. Już nie widzę. Jest ciemno. Słyszę miarowe piknięcia. Tylko to słyszę. Siedzę na środku czarnego pokoju na drewnianym krześle. Nad moją głową zapala się żarówka. Po chwili zapalają się inne. Siedzę w okręgu wśród innych ja. Patrzymy na siebie.

- *Żałuj!* - mówi wściekłe ja. - *Żałuj skurwysynu!*

- *Żałuj...* - mówi bojaźliwe ja. - *proszę cię żałuj...*

- *Żałujesz!?* - mówi opryskliwe ja. - *Pfff jak zawsze...*

- *Nie żałuj! Nie wolno!* - mówi silne ja. - *nie Żałuj!*

Wstają z krzeseł. Podchodzą do mnie kolejno. Patrząc głęboko w oczy mówią do mnie. Każdy swoje. Przepychają się wszyscy. Wchodzą jeden na drugiego. Przekrzykują się wzajemnie. Przygniatają mnie. Zamykam oczy. Ich krzyki wnikają nagle w mózg jak szpilki. Wbijają się, ale milkną. Trzymasz mnie za rękę. Jestem spokojny.

Leżę. Czuję, że leżę. Czuję, że żyję. Oddycham. Boli mnie głowa. Bolą mnie plecy, ale czuję. Czuję zapach... jaki to zapach? Prawdziwy! Jest miękko. Słyszę to pikanie. Boję się otworzyć oczy. Ściskam dłoń. Czuję twoją. Czuję!

- *Jesteś? ... Jesteś! Boże! Jesteś.* - słyszę twój głos. Przestraszony taki, ale szczęśliwy.

Ściskasz moją dłoń. Czuję to. Czuję twoje usta na moich. Prawdziwy pocałunek o smaku słonej miłości. Słonej? Nie... to tylko łyzy. Twoje prawdziwe łyzy. Przytulasz mnie z całej siły. Ty jesteś realna! Czuję cię! Widzę! słyszę!

Otwieram szeroko oczy. Elektrokardiograf przyspiesza pik, pik, pik.

- *Co... jak?* - Wszystko jest tak bezczelnie prawdziwe. Takie wulgarnie realne.

- *Już dobrze miły. Już dobrze.* - mówisz do mnie szczęśliwa ale płacząca. - *już będzie dobrze. Jestem tu. Jestem* - przytulasz mnie znowu składając słony pocałunek na ustach.

- *Co się stało? Dlaczego tu jesteśmy?* - to wszystko jest prawdziwe. Ale jakim cudem znalazłem się w szpitalu. Czuję bandaż na głowie. Nie mogę podnieść lewej ręki. Jest unieruchomiona w gipsie. - *co się dzieje?*

- *Nic. Jesteś bezpieczny. Śpij. Jesteś tu ze mną. Odpoczywaj.*

... zasypiam. Śnię. Sen jest neutralny. Budzę się. Nie wiem ile czasu minęło. Czytasz książkę. Kiedy otwieram oczy i zaczynam się poruszać, podchodzisz.

- *Cześć śpiący królewiczu. Jak się czujesz?* - pytasz z troską, bez płaczu, ale z przerażeniem w oczach.

- *Co się stało? Dlaczego jestem w szpitalu?* - nie potrafię sobie przypomnieć nic poza przedziwnymi nie-realnymi marami.

- *Spadłeś. Z podestu spadłeś. Ja dzwoniłam. Nie odbierałeś... Myślałam, że nie chcesz, że specjalnie... -* głos ci się załamał. - *ale ty spadłeś. Rozbiłeś głowę i złamałeś rękę.* - nie pamiętam nic z tego co mówisz. Czuję ból potylicy i ręki, ale nie pamiętam. - *ale ja przyszłam. Ja cię znalazłam. Dzwoniłam pod drzwiami, słyszałam jak telefon wibruje na posadzce. Ciebie słyszałam jak rżęzisz. Walłam w drzwi, ale nie otworzyłeś. Przez okno zobaczyłam jak leżysz.* - przerwałaś na chwilę zaciskając drżące wargi, próbując opanować emocje. - *we krwi. Telefon obok. Zawołałam i pomogli. Potem pogotowie. Podgrzewałeś jakieś chemikalia. Musiałeś zemdleć i spadłeś. Ale ja cię znalazłam. Jestem.* - przytuliłaś mnie znowu.

Miałem pustkę w głowie. Nie pamiętam nic. Kompletna pustka. Zasnąłem.

Kiedy obudziłem się ponownie byłaś już spokojna. Opowiedziałaś mi, jak nie zadzwoniłem. Miałem zadzwonić. Mieliśmy umówić się na kolację. Ale nie zadzwoniłem. Nie chciałaś się narzucać, więc czekałaś. Kiedy jednak nie odezwałem się do następnego rana, spróbowałaś zadzwonić. Nie odbierałem. Nie pisałem. Nie odczytałem wysłanego „hej”. Dzwoniłaś jeszcze kilka razy. Bez skutku. Następnego dnia rano przyszłaś do magazynu i tam mnie znalazłaś. Leżałem na podłodze, nieprzytomny. Majaczyłem. Otwierałem oczy, ale były nieobecne. Pomieszczenie wypełnione było oparami. Lekarze powiedzieli, że ledwo przeżyłem. Byłem wychłodzony. Zatruty chemią.

Słuchałem tej opowieści, potwierdzonej przez lekarza, z niedowierzaniem. Nic... żadnych wspomnień. Pamiętam, że leżałem...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ubuff, dodano 12.11.2020 15:04

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).